

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Wyrok.

Około trzech tygodni naradzali się sędziowie Trybunału Haskiego nad wyrokiem w sprawie tranzytu polsko-litewskiego. Znana z gazet decyzja, powzięta jednogłośnie, a więc i przy udziale przedstawiciela Polski prof. Rostworowskiego, na widowni międzynarodowej nie wywarła większego wrażenia, co jest zupełnie zrozumiałem wobec groźnej sytuacji wszechświatowej i doniosłych wypadków o znaczeniu globalnym, jakie dziś pochłaniają uwagę kół politycznych. Jedynie w Kownie i Wilnie, znacznie mniej już w Warszawie wyrok Trybunału Haskiego wywołał w opinii publicznej żywe zainteresowanie. Zwłaszcza w Kownie z powodu zwycięstwa tezy litewskiej ogarnęło społeczeństwo dawno nie obserwowane radosne podniecenie. „Są jeszcze w Hadze sędziowie!” — woła, nie posiadająca się z radości prasa litewska, dopatrująca się w orzeczeniu międzynarodowego trybunału triumfu sprawiedliwości i satysfakcji moralnej, nie pozbawionej również znaczenia pod względem politycznym.

Co orzekł właściwie areopag haski? Na zapytanie to odpowiada obszernie „Lietuvos Aidas”. Po rozważeniu wszystkich argumentów, wysuniętych zarówno przez stronę polską, jak też przez techniczną komisję doradcą komunikacji i tranzytu przy Lidze Narodów, nie uznał ich Trybunał Haski za przekonujące i orzekł, że „zobowiązania międzynarodowe, istniejące obecnie, w obecnych warunkach nie zmuszają Litwy do podjęcia potrzebnych środków w kierunku otwarcia komunikacji na linii Landwarów — Koszedary”. Trybunał rozpatrzył rezolucję Rady Ligi Narodów z 10 grudnia 1927 r. i ogłosił wyrok na podstawie art. 23 punkt paktu L. N. i konwencji kłajpedzkiej. Trybunał dał odpowiedź negatywną wyłącznie co do rzekomych zobowiązań międzynarodo-

wych Litwy, wstrzymując się od oceny „obecnych okoliczności”, których źródłem jest złamanie umowy suwalskiej. Wstrzymał się również Trybunał od wyrażenia swego zdania w sprawie représyj pokojowych, stosowanych względem Polski przez rząd litewski.

Dwaj członkowie Trybunału Włoch Ancialotti i Hiszpan Altamira posunęli się jeszcze dalej i uznali, że Litwa wogóle ma prawo przerwać komunikację na każdej linii kolejowej, łączącej ją z Polską. Zdaniem tych sędziów w normalnych warunkach podobne postępowanie sprzeciwiałoby się art. 23 paktu L. N. W warunkach jednak, na które wskazała Rada L. N., odmowa Litwy wznowienia komunikacji jest całkiem uzasadniona.

Głębsze znaczenie od samego wyroku posiadają ogłoszone przez Trybunał motywy doń. W motywach wyroku Trybunał podkreślił m. in. tezę rządu litewskiego, która utrzymuje, iż Litwa ma prawo tak długo nie nawiązywać z Polską żadnych stosunków, zanim kwestja przynależności Wilna nie będzie rozstrzygnięta drogą arbitrażu lub wzajemnego porozumienia lub wreszcie przy pomocy Trybunału Haskiego. Dalej Trybunał, uwzględniając anormalne stosunki polsko-litewskie, przyznał Litwie prawo stosowania art. 7 statutu barcelońskiego, gdyż wymagają tego bezpieczeństwo Litwy i jej żywotne interesy. Tem samym została podważona pośrednio uchwała Konferencji Ambasadorów.

Zrozumiałą więc jest całkiem radość, która zapanowała w Kownie. Dotychczas wszystkie posunięcia dyplomacji litewskiej na arenie międzynarodowej, zwłaszcza na terenie Ligi Narodów spotykało niepowodzenie. Wyrok haski stanowi punkt zwrotny. Wzmocnił on niewątpliwie Litwę pod względem moralnym i jurydycznym. Czy będzie miał również jakie praktyczne znaczenie? Bezpośrednio, niewątpliwie, nie pociągnie za sobą decyzja Trybunału Haskiego żąd-

nych konsekwencji. Od samego początku w zatargu polsko-litewskim moment faktów dokonanych przeważał nad momentem prawnym. Tak też będzie i nadal. W przyszłości jednakże, gdyby Liga Narodów z tego lub innego powodu zmuszona była do ingerencji w stosunki polsko-litewskie, pogląd Trybunału Haskiego na kwestję wileńską nie mógłby nie być wzięty pod uwagę i wówczas odegrałby pewną rolę polityczną.

Nie sądzimy jednakże, jak to już nieraz zaznaczyliśmy, aby zagadnienie wileńskie mogło być uregulowane za pomocą jakichkolwiek wyroków międzynarodowych, chociażby najbardziej autorytatywnych. Powtarzamy jeszcze raz, o czym pisaliśmy niejednokrotnie, że przynależność Wileńszczyzny do państwa polskiego gwarantuje o wiele mocniej, niż wszelkie uchwały Konferencji Ambasadorów, bierność i brak samodzielności, cechujące naogół ludność miejscową. Wilno milczy, i fakt ten jest o wiele ważniejszym atutem w ręku dyplomacji polskiej, niż decyzja mocarstw sprzymierzonych, która ma wartość tylko względną i prowizoryczną.

Punkt ciężkości kwestji wileńskiej leży nie w Warszawie i Kownie, nie w Genewie i Hadze, nie w Berlinie i Moskwie, lecz w samym Wilnie. O tem ciągle zapominają politycy gabinetowi, przywiązujący niezmierną wagę do teoretycznych formuł, lecz nie liczący się zupełnie z życiem realnem.

„Nowy“ i „najnowszy“ kurs polityki polskiej w sprawie białoruskiej.

III.

Oskarżenie o niski poziom nauczania w gimnazjach białoruskich, wysunięte w artykułach Hołówki, nabiera specjalnego posmaku na przykładzie nauczyciela A. Łuckiewicza. Ten najlepszy, jedyny

chyba nietylko w Polsce, ale i na całym Zachodzie znawca literatury białoruskiej, wychowawca całego pokolenia najwybitniejszych jej twórców, wzorowy pedagog i wykładowca, trzykrotnie z rzędu wyróżniany przez prezesów komisji maturalnych za pracę i odpowiedzi swych uczniów, obecnie został zakwalifikowany przez władze szkolne jako „nie stojący na wysokości wymagań pedagogicznych“. A na miejsce p. Łuckiewicza kuratorjum zaleciło gimnazjum jego ucznia, studenta U. S. B., który całą znajomość literatury białoruskiej zaczerpnął z wykładów gimnazjalnych tegoż p. Łuckiewicza, gdyż uniwersytet katedry literatury białoruskiej nie posiada.

Niezmiernie charakterystyczną jest taktyka, jaką zastosowano względem p. Łuckiewicza. Jako mający prawo do skróconego egzaminu nauczycielskiego, narazie został doń dopuszczony i nawet wezwany do Warszawy przez komisję ministerjalną. W wilję egzaminu jednakże otrzymał telegram, że egzamin jego został „odłożony do odwołania“. Tymczasem komisja zakończyła swą pracę, a w gimnazjum rozpoczął się rok szkolny — bez p. Łuckiewicza, ponieważ przedłużenie przez ministra oświaty „kwalifikacyjnego moratorium“ na przeciąg dalszych dwóch lat z nieznanых powodów nie znalazło zastosowania względem p. Łuckiewicza.

Początek „nowego kursu“ w r. 1928 znamionował powrót p. Łuckiewicza do gimnazjum; „najnowszy kurs“ rozpoczął się od ponownego jego usunięcia. Antyteza ta jest dostatecznie wymowna...

Nadmienić należy, że jednocześnie z „czystką“ personelu nauczycielskiego, która istotnie obniżyła poziom pedagogiczny, gimnazjum otrzymało i drugi cios, niemniej bolesny: ilość etatów państwowych została zmniejszona więcej niż wdwójnasób, subsydjum zaś wojewódzkie, już po rozpoczęciu roku szkolnego, gdy dyrekcja ułożyła preliminarz budżetowy na półrocze jesienne zawarłszy szereg kontraktów, zostało cofnięte całkowicie...

Tak bezwzględnie planowo — w wykonaniu programu ś. p. Hołówki — przeprowadzana jest likwidacja najlepszego gimnazjum białoruskiego...

*

Pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć w akcie oskarżenia zmarłego Hołówki jego ostatni argument, zważyć ten najcięższy głaz, którym prokurator chce

V. KRÉVÉ-MICKIEWICZ.

Marne życie.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

III.

Piotrusia szykowała się do kościoła. Postawiła misę na stole pod półką i myła sobie szyję.

— Marysiu, daj mi czysty ręcznik.

— Gdzie ja go teraz znajdę — skrzywiła się Marysia i nie poruszyła się z miejsca.

— Poszukaj za łóżkiem, tam znajdziesz.

— Oho, a nie możesz sama.

— Jak ja będę szukała? Widzisz, że ręce mokre.

— Wytrzesz się starym, nie Bóg wie jaka pani.

— Powiedziałem, poszukaj — rozłościła się

Piotrusia: a nie, to ci włosy powyrywam. Podłaj i leniwe te dziewczyny, niech Bóg broni.

Matka zeskoczyła z przypiecka, na który zalaża i wyszukała jej czysty ręcznik.

— A ty czy długo będziesz się wylegiwał? Chyba zapomniałeś, że dzisiaj Zielna, i ludzie wiozą do kościoła nasiona do poświęcenia.

— Zaniesie Piotrusia, przecież idzie do kościoła — odpowiedział ojciec.

— Właśnie, zaniosę, tylko czekaj. Nie dość, że samej trzeba się wlec po bloku, jeszcze im tłumoki dźwigaj.

— A jak z koniem? Czy on tam długo będzie stał u księdza? A może czekasz, aż sam ksiądz go przyprowadzi.

— Kto umiał oddać, niech ten i odbierze. A niech on i zdechnie, nie pójdę świecić oczami.

Piotrusia wzięła czysty ręcznik, który ani odrobiny nie był bielszy od tego, którym był chleb nakryty. Potem postawiła misę na ziemi i myła nogi.

— Czy nie możesz myć się koło łóżka i nie

ostatecznie przydusić młode pędy narodowej szkoły białoruskiej w państwie polskiem. Ten kamień grobowy dla narodowego życia Białorusinów jest niestety jednocześnie kamieniem węgielnym całego „programu białoruskiego” Hołówki.

Nie jest oczywiście winą Białorusinów, lecz jedynie ich nieszczęściem, że kamieniem tym, o którym mowa, jest „polska racja stanu”.

W imię walki z „białoruskim nacjonalizmem” polska racja stanu wymaga obecnie przez usta zmarłego Hołówki zupełnego zniszczenia odrębnej t. j. rodzimej narodowej szkoły białoruskiej, zniszczenia tego łona macierzyńskiego kultury białoruskiej, w którym w ścisłym kontakcie z rodziną i własnym społeczeństwem rośnie i potężnieje żywa dusza narodowa.

Żądanie tego rodzaju, rzecz prosta, wybiega daleko poza ramy zasady *asymilacji państwowej*, jeszcze tak niedawno stanowiącej podstawę ideologii obozu rządzącego w stosunku do mniejszości narodowych. Wyraźnie wkracza ono w dziedzinę *asymilacji narodowej*, która dotąd była, jak wiadomo, hasłem naczelnym endecji...

Jak widać, oprzeć się pokusie wykonania próby zupełnego wynarodowienia rzekomo podatnej na to masy białoruskiej, nie potrafił nawet tej miary człowiek, co ś. p. Hołówko, gdy tylko ulegając pomajowej sugestji potęgi władzy państwowej, uzyskał nadto jeszcze prawo przemawiania w imieniu narodu białoruskiego, jako jego legalny wybraniec i przedstawiciel...

*

I tu właśnie ujawnia się istotna treść i duch „najnowszego kursu” w sprawie białoruskiej, których niebezpieczeństwo należy uwidocznnić w całej pełni.

Można przyznać każdej panującej większości prawo zapatrywania się na dążenia polityczne i aspiracje państwowo - narodowe mniejszości z punktu widzenia swej racji stanu, wymagając od nich lojalnego i kompromisowego ustosunkowania się do rzeczywistości.

Kategorycznie jednakże należy odrzucić uroszczenia tej większości do traktowania kulturalno-narodowego życia mniejszości, ich świętości duchowych pod kątem interesów państwowych.

Ta dziedzina twórczego ducha narodowego po-

winna pozostać nietykalną, jako cel sam w sobie, jako wartość absolutna.

Jest to dziedzina bezwzględnej *autonomji*, która nie powinna i nie może być skrepowana ani zgwałcona żadnymi zewnętrznymi, obcymi jej przepisami. W tym przybytku narodowej świątyni może stać tylko skrzynia przymierza z Bogiem, lecz nie z żadną potęgą ziemską.

Każde wtargnięcie do tej świątyni bez należytego pietyzmu stanowi świętokradztwo, które pierwiej lub później zostanie pomszczone. Bronić tych swych świątyń każdy naród ma nie tylko prawo, lecz obowiązek, jeżeli chce zasłużyć na miano narodu, w pełnem tego słowa znaczeniu.

Nieuznawanie tego wszystkiego w stosunku do narodu białoruskiego w państwie polskiem stanowi zasadniczy błąd „religijny”; główny grzech ś. p. Hołówki, „proton pseudos” całego jego białoruskiego programu.

Przed rozpoczęciem swej państwowej kariery zmarły, jak wiadomo, nie tylko nie popełniał tego błędu, lecz przeciwnie z rzadką w Polsce energją i szczerością piętnował wszelką szkodliwą tendencję nacjonalistyczną, broniąc bez zastrzeżeń praw mniejszości do *narodowej autonomji*, pojmując ją tak, jak to wyżej zostało przez nas wyłożone.

Dopiero po wyborach 1930 r., które unicestwiły narodowe białoruskie przedstawicielstwo w Sejmie, które spowadziły do zera polityczną rolę białoruskiej inteligencji, będącej właśnie wyrazicielką i strażniczką owej autonomji narodowej, po wyborach, które uczyniły przedstawicieli polskiej inteligencji „wybrańcami narodu białoruskiego”, a samego T. Hołówkę ich „regjonalnym” przewodcą, ten ostatni nie waha się określić odstręczającym mianem „białoruskiego nacjonalizmu” — wysiłków inteligencji białoruskiej, mających na celu obronę najświętszych praw swego narodu, jego najwyższych wartości duchowych.

Oskarżenie to wypada nie tylko odrzucić, nie tylko uznać je za niesumienne, ale i stwierdzić, że zwraca się ono całkowicie przeciwko oskarżycielowi. Wszakże nacjonalizm jest doktryną polityczną, która nie uznaje duchowej indywidualności innego narodu, a swej własnej przeciwnie udziela takich przywilejów i takiej władzy nad obcą duszą narodową, że deprawują one obie strony i koniec końcem zatruwają

rozlewać tutaj wody? W chacie i bez tego błocko, nigdy nie wysycha, — bąknął Kaziuk.

— A ciebie co to obchodzi? Abo to ty pilnujesz porządku w chacie — odcięła się Piotrusia.

— Kaziuk, a Kaziuk, czy ty w domu? — wołał go ktoś, stojąc za oknem. — Chodź tu, coś ci powiem.

Kaziuk wstał z łóżka, przeciągnął się, poskrobał się za uchem i wyszedł z chaty. Po upływie jakichś pięciu minut powrócił i usiadł na ławie.

— Piotrusia, daj mi czystą bieliznę.

— A jakże, śpieszę się. Do kościoła dziś nie idziesz, a pojutrze niedziela. Pochodzisz w brudnej.

— Ja już drugi tydzień noszę.

— Wszystko jedno będziesz gdzieś na sianie chrapał, czy będziesz w czystej bieliznie, czy w brudnej.

— Ciebie co to obchodzi? — powiedziałem daj, to daj!

— Już biegnę, biegnę — zadrwiła: umywszy nogi otarła je fartuchem.

— Ty, synku, tych łotrzyć się nie doprosisz — przemówiła matka, która teraz stała przy ławie i myła naczynie. Wytarła ręce i poszła za łóżko po bieliznę dla Kaziuka. Wzięła pierwszą z brzegu i podała mu. Ten wziął koszulę, rozwinął, obejrzał...

— Czy niema tej z odwijanemi rękawami?

— Przecie jak założyłeś w zeszłe święto, to tak i ciągałeś dwa tygodnie, a prania jeszcze nie było.

Kaziuk nic nie odpowiedział, tylko skrzywił się i oglądał gacie.

— Guzika niema — bąknął

— Czy my tobie jeszcze guziki będziemy kupować. Weź kawał patyka i zrób sobie zatyczkę — poradziła mu Piotrusia.

Kaziuk wyciągnął z miotły różgę i odłamał kawałek. Potem wziął nóż i począł robić zatyczkę.

— Kaziuk, dzisiaj święto, a ty nożem kroisz? Czy nie możesz się obejść bez tego? — napadła na niego matka.

ostatecznie żywy i zdrowy duch panującej narodowości...

Oto więc dlaczego — wydaje się nam — z żadnego punktu widzenia naród białoruski nie ma powodów do uznawania tych szkodliwych i niebezpiecznych dla obu stron pretensyj polskiego ducha do panowania nad jego autonomicznym duchem, nad jego twórczą duszą narodową, jak tego żąda, wyrażnie wykraczając poza granice swych legalnych uprawnień, „państwowość“ zmarłego T. Hołówki.

Sulima.

Zadanie ponad siły.

Jeżeli szukamy odpowiedzi na pytanie, pod działaniem jakich wpływów i czynników kształtują się obecnie u nas stosunki na wsi — to zawsze zahaczmy o rolę w tem inteligencji. Jasną jest rzeczą, że przy dużem zacofaniu i bierności masy wiejskiej, stykająca się z tą masą inteligencja może dosyć znaczny wpływ na układ bieżących stosunków wiejskich wywierać.

Należy stwierdzić zupełnie otwarcie, że w obecnej dobie tak się stosunki u nas ukształtowały, że głównie w grę tu wchodzi inteligencja polska. Bo wtem w okresie ostatniego dziesięciolecia, a zwłaszcza w latach ostatnich, nastąpiła prawie zupełna izolacja wpływów inteligencji białoruskiej, względnie litewskiej. Na widocznym polu tarć i oddziaływań pozostał polski inteligent i miejscowy włościanin, w przynajmniej widocznych — inteligent polski już nie posiada. Pole dlań zostało dobrze oczyszczone. Nic mu już nie staje na przeszkodzie do wypełnienia w naszym kraju tej misji, do której zawsze rościł sobie dużo pretensji. Owszem — stoi za nim potęga organizacji państwowej, Kościół, szkoła i wiele innych sprzyjających warunków. Nasza inteligencja polska zawsze czuła się powołaną do roli przodującej w kraju. Zwłaszcza uważa siebie za jedynie powołaną do misji kulturalno-oświatowej, roszcząc prawo do pewnych przywilejów, w imię swej wyższości kulturalnej.

To też, mając dziś, jak już zaznaczyliśmy, wy-

bitnie korzystne dla siebie warunki ekspansji — może wreszcie wykazać swoją działalność. To uprzywilejowane stanowisko, jakie w życiu kraju zajęła inteligencja polska — bezwątpienia ją obowiązuje. Ma ona przed sobą trudne zadania, gdyż wzięła na siebie wielką odpowiedzialność wobec ludu miejscowego, przyczyniwszy się — bezpośrednio lub pośrednio — do odsunięcia od wpływów inteligencji białoruskiej.

Bezwątpienia, należy odróżniać akcję ściśle biorąc państwową, raczej rządową, od akcji do pewnego stopnia samorządnej, w której inicjatywa wyłącznie pozostaje w ręku społeczeństwa. Wprawdzie u nas te rzeczy są nieraz dziwnie pomieszane, nie dające się często wyraźnie oddzielić — jednak, bądź co bądź, w pewnej mierze, inteligencja ma zupełnie samodzielne pole do popisu. Naprzykład w dziedzinie organizowania zbiorowego życia na wsi; tu może wykazać dużo inicjatywy i zdobywać dla siebie wpływy i uznanie.

Trzeba jednak stwierdzić, że jakichś wybitniejszych sukcesów inteligencja polska dotychczas nie osiągnęła. Przeciwnie, oddziaływanie jej wyraża się dosyć mizernie — wpływów jakoś nie widać i nie czuć na wsi. Jeżeli przytem oddzielić to, co zdziałał u nas wyłącznie aparat państwowy, a tylko podsumować to, na co się zdobyła inteligencja swymi środkami i własną inicjatywą, — to wyniki okażą się zupełnie znikomymi. Nic wszak jej nie przeszkadza, a raczej wszystko ma za sobą — jednakże twórcza praca jej jakoś nie klei się. Pomijamy już to, że nie wyłoniła dotąd żadnego programu w stosunku do różnorodnych zagadnień wsi, lekko unikając wyraźnego postawienia kwestji, czy to w sprawach narodowościowych, czy społeczno-ekonomicznych, — ale nawet z codziennej jej działalności wyziera jakaś czcza pustka i bezplanowość. Powstaje więc pytanie, dlaczego tak jest? Zdaje się, że nasza inteligencja polska zaczyna sama to rozumieć, że przyjętej na siebie roli odegrać nie potrafi i wciąż jest w poszukiwaniu właściwych dróg zbliżenia się do wsi.

Oto niedawno w „Kurjerze Wileńskim” „niezależnym organie demokratycznym”, odbyła się dyskusja na temat: „frontem ku wsi”. Na front wiejski wezwał inteligencję wileńską p. Arcimowicz. Jego artykuł pod powyższym tytułem wywołał żywą dyskusję; odezwały się i inne głosy na tenże temat. Zgóry zastrzegamy się, że polemizować, ani z p. Arci-

— Jak ja się obejdę może w ręku portki będę nosił!

Załatwiwszy się z zatycką, wziął bieliznę i poszedł na drugi koniec chaty.

— O jej, tatulu, jak ślepy! Nie widzisz, że odzienie z wieszaków spadło? Tak i położyłeś się, — złościła się Piotrusia, wyciągając z pod z ojca pogniecione części garderoby. — Pognoitłeś mi spódnice, że nie wiem, jak ją teraz nałożyć.

— A lichy was tam wiel! W głowie mi twoje spódnice. Czy nie mogłaś gdzie indziej powiesić, jak tylko na wieszakach. Z lenistwa nie chce ci się ani palcem poruszyć.

— Sam nic z lenistwa nie robisz, tylko na drugich krzyczysz. Ja od pracy rąk podnieść nie mogę, a ty tylko się wylegujesz od rana do nocy — oburzyła się Piotrusia: jak ja teraz, o Jezu, nałożę taką spódnice.

— Dziś nie zimno, córeczko. Włóż moją w paski — zaproponowała Dwajnisowa.

— Właśnie, żeby ludzie palcami wytykali.

Piotrusia zdjęła z wieszaków potrzebne odzienie i przeszła na drugi koniec.

— No, a ty, stary, będziesz się wylegiwał. Jeżeli sam nie idziesz, to chociaż poproś kogo, aby nasienie zawiózł do poświęcenia.

— Czasu jeszcze jest. Zawiozę w niedzielę.

Do izby wszedł Kaziuk, zdjął z szaragów nową siermięgę i zarzucił sobie na plecy.

— Gdzie idziesz? — spytał ojciec.

— Idę!... — odburknął syn i trzasnął drzwiami.

— No, i dzieci teraz, żeby ich cholera! — zaklął ojciec i usiadł na łóżku. — Marysiu, podaj mi buty.

Marysia zlaźła z przypiecka i podała ojcu buty. Naciągnął na bosą nogę. Wziąwszy z okna lusterko, upstrzone przez muchy, przetarł je dłonią i, patrząc w nie macał sobie brodę.

— Choć koszulę byś zmienił, jeżeli gdzie

mowiczem, ani z jego oponentami—bynajmniej nie zamierzamy. Ta publiczna dyskusja daje nam jedynie możliwość stwierdzić poziom inteligencji „demokratycznej“. Jeżeli te wynurzenia mogą służyć za jakąś wskazówkę — a wydaje się, że tak jest — to stwierdzają dobitnie, że inteligencja zupełnie nie jest przygotowaną do roli, którą chce spełnić na wsi.

P. Arcimowicz, który przy sposobności chełpi się tem, że ma w sobie 50% „krwi chłopskiej“—tak charakteryzuje stan naszej wsi: *wieś pragnie wódki i pieniędzy dla wypchania pończoch i garnków, chowanych w zapieckach*. Ten inteligentny obserwator niewiele ma więcej do powiedzenia o pragnieniach naszego wieśniaka. Pomijając to brutalne podejście do krwawiących zagadnień — opinia powyższa zdradza zadziwiająco ignorancję i ciasnotę poglądów w ocenianiu doniosłych zagadnień ekonomicznych i społecznych wsi. Puste słowa, o „wspaniałomyślności“ w stosunku do Białorusinów, o ich uświadamianiu obywatelskiem — świadczą również, że i w kwestjach narodowościowych niewiele ma p. A. do powiedzenia. Wywodząc patetyczne komunały o demokracji, „uszlachetnieniu“ i t. p. wsi, chce ją obdarzyć jakąś bliżej nieokreśloną „kulturą“, za rzecznika której widocznie się uważa. Nie trzeba dziwić się, jeżeli włościanin białoruski będzie wolał śmierdzący samogon, niż „kulturę“ panów Arcimowiczów—bo samogon da mu choć chwilową podniętę i zapomnienie.

Mniejsza o p. Arcimowicza. Dla nas staje się on symbolem tego inteligenta polskiego, który poczuwa się do pewnych obowiązków wobec naszego wieśniaka białoruskiego. Cóż ci ludzie mogą dać tej wsi, frontem do której stają? Ani dobrobytu — ani idei. Próżno wykrzykuje p. A., że „my ją (wieś) musimy przebudować po swojemu“. Nie przebudujecie jej „po swojemu“—bo w sobie materiału ku temu nie posiadacie!

Dziś jeszcze wieśniak nasz jest niemy. A zresztą nikt go o zdanie nie pyta. Ale wymowną odpowiedź wkłada mu w usta poeta (Franciszek Bohuszewicz):

- ... Czamu ty łaŭ, mužyczok?
- Bo chtoś praŭdu ŭkraŭ.
- ... Czamu ciomny, mužyczok?
- Bo pad ciomnym siadzu...

Rusticus.

idziesz. A to zasmolona, jak kociół; drugi tydzień przecie nosisz.

— E, żebym nie wiedzieć jak się ubrał, wszyscy wiedzą, z jakiego garnka chleb jem.

Splunął na rękę i przygładził sobie włosy. Potem powywracał, porozciągał całą kupę ubrań, co leżały za łóżkiem, wreszcie znalazł wygniecioną marynarkę, potrząsnął raz, drugi i, włożywszy na siebie, wyszedł z chaty.

IV.

Dzień stał się jeszcze bardziej pochmurny; padał deszczyk — „kapuśniak“, jak się mówi.

Dwajnis szedł do miasteczka prosto przez ogrody, przez las, aby skrócić sobie drogę, i niósł siekierę do kowala. Onegdaj, rąbając drzewo, uderzył o kamień i wylał ostrze. Siekiera była tylko jedna na całe gospodarstwo, i bez niej, jak bez ręki.

Z mego notatnika.

Zgrany zespół.

Znakomity satyryk rosyjski Szczedrin tak określał różnicę między współczesnymi sobie wsteczniakiem i liberałem: wstecznik pisze „donosy“, liberał zaś — „doniesienia“.

I Szczedrin byłby jednak w kłopotcie, gdyby mu wypadło zdefiniować na czem polega różnica między naszym endeckim nacjonalistą, konserwatywnym imperjalistą, a sanacyjnym demokratą, inaczej między „Dziennikiem Wileńskim“, „Słowem“ a „Kurjerem Wileńskim“. Oczywiście pomijam tu kwestję stosunku do obecnych rządów w Polsce. W tej dziedzinie decydują wyłącznie względy oportunistyczne i kwestja ta nie posiada znaczenia zasadniczego. Jeżeli jednak chodzi o ideologję, o zagadnienia programowe, to w tym zakresie doprawdy trudno się dopatrzeć nawet tak subtelnej różnicy, jaka istnieje między „donosem“ a „doniesieniem“.

Wszystkie trzy bowiem główne kierunki polskiej myśli politycznej u nas i reprezentujące je organy, mimo odmiennej nomenklatury i frazeologii, którą się posługują raczej z przyzwyczajenia, niż z istotnej potrzeby, w gruncie rzeczy wykazują zadziwiające podobieństwo w swych uzdolnieniach i zamiłowaniach i wygrywają tę samą melodję — chociaż na rozmaitych instrumentach. Czy się słucha ogłuszającego jazzbandu „Słowa“, czy monotonnego dudnienia cymbałów „Dziennika Wileńskiego“, czy misternych fiortur smyczkowych „Kurjera Wileńskiego“, zawsze wpada w ucho jeden wyraźny nieprzyjemny ton: ton oskarżycielsko-prowokacyjny w stosunku do innych narodowości, zwłaszcza zamieszkałych na wspólnym terenie.

Jeżeli „Dziennik Wileński“ wytrwale wystukuje swoje marsze wszechpolskie przeciwko Białorusinom i Ukraińcom — to nikogo to nie dziwi. Jest to przecież jego fach. Jeżeli „Słowo“ bije w bębny i tamtamy zagzewając do boju z Łotyszami, to również jest w porządku. Musi przecież znaleźć jakieś ujście dla swego temperamentu i swych wielkomocarstwowych aspiracyj. Ale gdy „Kurjer Wileński“ zaczyna wygrywać swój demokratyczny koncert skrzypcowy przy akompaniamencie grubej basetli, nastrojonej

Deszcz mżył, a Dwajnis szedł, myśląc o swej doli złej i serce mu się żalem ścisnęło.

Przeklęta jego dola! Nigdzie nic się nie wiedzie, jakgdyby Pan Bóg zapomniał. U niego zboże zawsze gorsze, niż u sąsiadów. Zeźnie zawsze mniej, niż drudzy, chociaż pola ma dużo — całe pół włóki. Zdarzy się we wsi co złego — to nie komu innemu, tylko jemu. Tej wiosny grad zniszczył zboże. Gdzie przeszedł, gdzie nie przeszedł, a jego całe żyto, jak prześcieradło rozestał. Zabiegł do wsi wściekły pies — pokąsał swinię nieczyją inną, tylko jego. Na gęsi padła cholera. U kogo dwie, trzy gąski zdechły, a u niego prawie wszystkie. Załedwie stare zostały i dwa, czy trzy gąsaki, a było bezmała dwanaście.

Co tylko się stanie złego we wsi, to wciąż jemu i jemu. Choćby i teraz. Wszystkich konie trafiły do Żyda, a jego zabrał ksiądz. Z żydem wykłóciłbyś się i tyle tego. A z księdzem nie będziesz się kłócił, trzeba będzie tylko świecić oczami ze wstydu i jeszcze zapłacić wypadnie.

na nutę antylitewską — to spragnionego jakiej takiej harmonji słuchacza musi ogarnąć ostateczna depresja duchowa.

Gdy się czyta taki artykuł, jak „Droga Boga i Cnoty“ (Nr. 232 „Kurjera Wil.“), w którym autor, ukrywający się pod literami A. C. gołosłownie i bezpodstawnie atakuje litewskie T-wo Św. Kazimierza, zarzucając mu szczepienie wśród ludności litewskiej nienawiści do współobywateli narodowości polskiej i białoruskiej, nasuwa się naturalnie pytanie: czem się różnią metody nacjonalistycznego „Dziennika Wil.“ od praktyk demokratycznego „Kurjera Wil.“? Insynuacje o zapaszkę delatorskim nie licują jakoś ze stanowiskiem „demokratycznym“...

Bo przecież p. A. C. żadnych dowodów na poparcie swego oskarżenia nie przytacza. Zapytanie w tym względzie, wystosowane do autora na szpaltach „Słowa“ przez Zarząd T-wa Św. Kazimierza, pozostało bez rzeczowej odpowiedzi. Zresztą z toku rozumowania p. A. C. można z łatwością wywnioskować, że jego zarzuty nie są oparte na jakichś danych konkretnych, lecz są płodem fantazji i złej woli. P. A. C. bowiem głównie ma za złe działaczom litewskim, że tworzą organizacje różnych typów, przeznaczone wyłącznie dla ludności litewskiej!

Zapewne byłoby bardzo pożądanem, aby wyłączność narodowościowa należała u nas do przytyków. Ale czy można wymagać od ludności litewskiej, aby garnęła się do stowarzyszeń o charakterze ogólnym, jeżeli język litewski w naszym życiu publicznym jest upośledzony i teoretycznie i praktycznie? Cóż dziwnego, że ludność litewska skupia się w takich organizacjach, gdzie może się porozumiewać we własnym języku? Nasz kraj nie jest jeszcze Szwajcariją, gdzie każdy niemal obywatel włada językiem niemieckim i francuskim z równą swobodą, a i w Szwajcarii nawet podział na grupy językowe jest zupełnie wyraźny.

Rościć pretensję do T-wa Św. Kazimierza o to, że tworzy dla ludności litewskiej odrębne organizacje, a nie stara się, by ta ludność jaknajłatwiej i najszybciej uległa wynarodowieniu — jest to pomysł, na który dotąd nie wpadł nawet organ p. Obsta.

Bo też, gdy chodzi o zachłanność, o nietole-

I czemu to Pan Bóg go nie lubi? Przecie wszystko spełnia, co do niego należy; i do kościoła chodzi, i do spowiedzi, i posty zachowuje. Jak tu nie pościć, jeżeli czasem i w niedzielę trzeba się obyć bez mięsa! Chociaż nie bogaty, chociaż grosza zbytecznego nie ma, jednak i na Wielkanoc, i na Zielone świątki, i w inne ważniejsze dni świąteczne daje dziadom jałmużnę. A i kościoła nie zapomina: gdy ma jakich kilka groszy, to nie przejdzie koło skarbonki, aby nie wrzucić do niej na ofiarę. Egzekwuj co prawda dawno nie zakupywał, choć właściwie należało, gdyż rodzice jego i jego żony pomarli.

Zresztą, czy to on winien, że pieniędzy nie ma? A egzekwuj bez pieniędzy zakupuć nie można. Długu ma tyle, że już więcej nikt nie chce pożyczać.

Czemu to tak? Czemu to dobrze żyją Żydzi, którzy nic nie robią, tylko ludzi oszukują, i powodzi się im. Ładnie się ubierają, zawsze smacznie jedzą. Albo choćby państwo. Ani oni postów nie przestrzegają, ani do kościoła nie chodzą tyle, co on. A ile

rancję, o skłonność do jątżenia i podsycania namiętności nacjonalistycznych, to niewiedomo komu oddać pierwszeństwo.

Licz.

WOLNA TRYBUNA.

Uszinkowane oblicze.

Pan W. Ch. po paromiesięcznym spoczynku znowu uraczył czytelników „Słowa“ alarmującym artykułem o znieprawionym przez siebie obrządku wschodnim, wybierając na ten raz celem swoich pocisków II Pińską Konferencję Unijną. Jesteśmy już przyzwyczajeni do „nerwowych“ artykułów p. Ch. na tematy unijne, nie zwrócilibyśmy uwagi nań i teraz, gdyby nie to, że artykuł ostatni jest jakby koroną dotychczasowej działalności publicystycznej p. Ch., bowiem dość wyraźnie oskarża uczestniczących w konferencji biskupów i kapłanów katolickich, nb. w ogromnej większości Polaków, o... konspiracyjne knowania antypaństwowe na rzecz przyszłej Rosji.

Nie raz zastanawialiśmy się o co właściwie chodzi p. Ch. przy zwalczaniu obrządku wschodniego; bo p. Ch. poza niesmacznymi atakami na kapłanów, drwinami z obrządku oraz propagowaniem jakiegś b. mglistej Unji Kościołów wzamian nic konkretnego nie wysuwa. Doszliśmy do wniosku, że albo p. Ch. zwalcza obrządek wschodni z pobudek nacjonalistycznych, a w takim razie jest ideowo zbliżonym do krakowskiej „Unji“, z tą tylko różnicą, że tamta jest szczerą i otwarcie przyznaje się że chodzi jej o polonizację Białorusinów i Ukraińców, albo — za czem przemawia również pewne prawdopodobieństwo — że p. Ch., jako pozostający w bliskich stosunkach z tułtejszymi kalwinami — uległ ich wpływom i stara się dyskredytować Kościół i jego ministrów dla zrobienia przyjemności swym przyjaciółom.

Opisując II Konferencję Unijną gniewa się p. Ch. że w prasie wileńskiej nie było sprawozdania z konferencji, że informacje o przebiegu jej musiał czerpać z organu unickiego duchowieństwa archidiecezji lwowskiej „Nywa“. Jakby to było winą organizatorów konferencji, że wileńska katolicka prasa nie wysłała na nią swoich współpracowników, a Lwów

ludzi oni krzywdzą, ile też się przez nich wylewa, jeden Pan Bóg widzi. Choćby nawet Draguszauskas, adwokat, co to mieszka w miasteczku. Czemu mu jeszcze trzeba, czego mu brak? Chyba ptasiego mleka. A ile ludzi, ile pieniędzy wyludził odbiednych ludzi. Bożeż ty mój!

A może to Pan Bóg tak ustanowił, aby temu zawsze się dobrze działo, kto zły, kto nieuczciwy? Bo porządnemu człowiekowi niema jak żyć, i koniec. Jak Pan Bóg, tak i ksiądz. Oto nieś mu teraz ostatni grosz.

Dobrze, zaniesie, ale za to nagada księdzu i na Pana Boga. Wszystko wypowie, co na sercu leży.

(d. c. n.)

o to się postarali! Ale dla p. Ch. jest to wysoce po-
dejrzanem, pisze bowiem:

„Konferencję więc otacza pewna tajemnica,
która jest tem przykrzejszą, że odnosi się do społeczeństwa polskiego”.

Słowem p. W. Ch. jest kompletnie niezadowolony z organizacji Konferencji; może dlatego, że nie
powołano jego tam w charakterze „specja”?

Nie wspomina p. Ch. nic o uchwałach Konferencji (podanych zresztą przez K. A. P.) np. o potrzebie rozwinięcia kultu eucharystycznego, o wyjaśnieniu ludowi znaczenia słowa „prawosławny”, o potrzebie pouczenia ludu o historii istniejącej kiedyś na naszych ziemiach kościelnej jedności, o obowiązku głoszenia w katolickich świątyniach obrządku wschodniego słowa Bożego *dla Polaków po polsku, dla Ukraińców po ukraińsku, dla Białorusinów po białorusku, dla Rosjan po rosyjsku etc*; bo to zadaje kłam jego twierdzeniom o szerzonej przez obrządek wschodni rusyfikacji. Nie wspomina też p. Ch. nic o tem, że jak ks. biskup Łoziński, tak i konferencja napiętnowali jako niegodne katolickiej prasy — tendencyjne oświetlanie przez niektóre jej organy akcji unijnej. O tem wszyskiem p. Ch. nie wspomina*). Natomiast gdy przeczytał, że jeden z referentów poruszył sprawę celibatu w *przyszłej* Rosji — nie wytrzymał:

Co to znaczy — pyta p. W. Ch. — „przyszła Rosja”? Jak ta Rosja ma wyglądać?... A przedewszystkiem — oto pytanie, którego szczególnie się boją działacze obrządku wschodniego, — jakie mają być granice tej Rosji?

Ale od czujnego oka p. Ch. nic nie ujdzie, on wie o co chodzi, on wie, że tych 5 biskupów i 60 kapłanów to — zakonspirowani działacze, którzy z błogosławieństwa komisji pro Russia debatuja nad zmianą granic Polski na rzecz przyszłej Rosji i dlatego demaskuje ich unicką robotę, pisząc dalej:

„Nie żądamy odpowiedzi na ostatnie pytanie: za odpowiedź posłuży zbyt wymowna polityka księcia Wołkońskiego i całej komisji pro Russia, traktująca wschodnie tereny Rzeczypospolitej jako ziemie rosyjskie”. Słowem — rzymsko-rosyjsko-jezuicko-masońska intryga!

Spoglądamy na tytuł pisma, czy omyłkowo nie czytamy „straszego” opowiadania w dodatku dla dzieci p. t. „Słówko”. Niestety, te brednie wypisuje p. Ch. na łamach „Słowa”, tego samego, które przed kilku dniami podając wiadomość o złożeniu w Rzymie przez księdza Wołkońskiego jakiegoś sprawozdania oraz jakiejś jego misji w Galicji — odpowiedzialność za prawdziwość wieści złożył na karb A. T. E. Zaciekawieni przeglądamy prasę ukraińską i znajdujemy tą samą wiadomość jako powtórzoną za prasą polską. Z prywatnych zaś źródeł wiemy, że ks. Wołkoński — profesor mowy rosyjskiej w Instytucie Orjentalnym w Rzymie, bawił latem we Lwowie, gdzie pracował w archiwum metropolji gr. katolickiej. Cała więc ta wiadomość o jakiejś misji ks. Wołkońskiego jest mocno podejrzaną, ale dla p. Ch. jest wystarczającą, gdy chodzi o skompromitowanie Kościoła i jego ministrów.

Dla wzmocnienia swych zarzutów cytuje dalej p. Ch. broszurę wik. gen. metrop. mohyl. ks. dr. Około-Kułaka p. t. „Kościół w Rosji dawnej, obecnie

i w przyszłości”, gdzie autor, uzależnia rozwój Kościoła w przyszłej Rosji od tego, kto będzie jej panem, mówiąc:

„Jeżeli powróci w Rosji monarchja, co nie jest wykluczone, wróci z nią dawny stan przedwojenny dla Kościoła, w którym Kościół w Rosji będzie mógł pracować i rozwijać się”. Nic w tych myślach niema nadzwyczajnego, ot zwykle horoskopy na przyszłość.

Ale p. Ch. zaopatruje je w swoje uwagi:

„A więc cała nadzieja na powrót cara?! Bo tylko car-batuszka potrafi przywrócić wymarzony stan przedwojenny, kiedy Kościół mógł spokojnie pracować pod batem kozackim, mógł pięknie rozwijać... zdolności *konspiracyjne* (podkr. nasze), związać swe wymagania i owijać się naokoło filarów carostawja”!..

Cóż to jest? Słowa rzucone na wiatr, czy też kolejna próba katolickiego pisma skompromitowania skrwawionego Kościoła w Rosji wobec bolszewików?

Nie rozumiemy właściwie dlaczego redakcja „Słowa”, zamieszczając podobne artykuły twierdzi, że stoi na gruncie ideologii katolickiej. Po co bałamucić opinię katolicką prowincji? Bo Wilno wszakże właściwie ocenia wartość katolicką „Słowa”, tę katolickość, która ulotniła się z pisma grubo wcześniej, niżli nawet monarchizm.

Dowodem tego jest okoliczność, że ludzie nauki, znani na gruncie wileńskim, jako cieszący i praktykujący katolicy, już dawno usunęli się od współpracy redakcyjnej w „Słowie”. A zresztą jeden z czołowych publicystów pisma wszakże prywatnie otwarcie głosi, że katolicyzm uważa za rzecz b. korzystną dla państwa, narodu, ładu społecznego, utrzymania różnicy klas, dyscypliny, idei monarchistycznej, konserwatywnej etc., aczkolwiek do strony dogmatycznej, moralnej, rytualnej etc. ustosunkowuje się *bardzo krytycznie*.

A że to nie są tylko osobiste przekonania owego pana, lecz są również wyrazem stanowiska pisma, można wnioskować z tego, że na jego łamach w odcinku była drukowaną pozostająca na indeksie powieść Leona Daudet. Dalej, gdy w swoim czasie głośna już dziś Ciotka Albinowa w jednym z monologów radjowych ostro natarła na rozwody udzielane przez ewangelików katolikom, zgnił to wystąpienie w „Słowie” p. W. Ch. A i artykuły tegoż p. W. Ch., grubo przechodzące granice krytyki, w sprawie obrządku wschodniego, pełne insynuacji pod adresem biskupów i kapłanów, pracujących nad zjednoczeniem Kościołów, też wiele mówią o katolickości pisma. (Pomijamy już „katolickie” redagowanie pisma, gdzie obok opisu uroczystości religijnej zamieszcza się „kawały” w stylu lupanarowo-nadwiślańskim, a na deser w odcinku powieść kryminalistyczną).

Lecz mimo wszystko redakcja „Słowa” chce za wszelką cenę utrzymać choćby wrażenie swej pięknej ongiś katolickiej przeszłości i dlatego utartym zwyczajem jąła się poszukiwać masonów. Ofiarą tej niewczesnej gorliwości padł i „Przeład Wil.”, któremu „Słowo” od pewnego czasu wytyka przynależność do masonerii. Nie wiemy skąd się wyległa ta opinia: czy z pomieszania nazwisk, czy z plotek, czy też z imaginacji redakcji „Słowa”, dość że „Słowo” usilnie ją kolportuje.

Nie można mieć nic przeciwko tej zabawie. Czy nie warto byłoby jednak, by redakcja „Słowa” rozpoczęła poszukiwania masonów wśród bliskich sobie przyjaciół politycznych i osobistych, bo przecież z pod mocno wytartej szminki katolickiej „Słowa” nie trudno dojrzeć prawdziwe jego cynicznie uśmiechnięte oblicze.

Janowski.

*) Już po złożeniu i przełamaniu niniejszego artykułu ukazał się w „Słowie” drugi artykuł p. W. Ch. w tej samej kwestji, gdzie wyliczone wyżej tematy zostały poruszone.

(Przyp. Red.).

List z Kowna.

(Od przygodnego korespondenta).

Październik 1931.

W niedzielę 27 września arcybiskup metropolita kowieński J. Skwirecki odbył wizytację kanoniczną kościoła garnizonowego w Kownie, jak wiadomo, przerobionego z soboru prawosławnego.

Znający Kowno wilnianie niewątpliwie pamiętają ten typowy budynek na pryncypalnej arterji ruchu ulicznego obecnej stolicy litewskiej. Wspaniały obchód rozpoczął się od właściwego obrzędu wizytacyjnego, przepisanego przez rytuał. Faktycznie najbardziej ciekawym momentem, wobec napięcia stosunków kościelnych w Kownie, była przemowa arcybiskupa Skwireckiego do armji (wojskowi bowiem wszystkich szarż zapełnili obszerny kościół). Zwróciła ona uwagę wszystkich swą niezwykłą lakonicznością. Dalej nastąpiła msza pontyfikalna, celebrowana w asyście kapłanów wojskowych. Były ładne śpiewy z towarzyszeniem muzyki wojskowej. (Naogół poziom muzyki kościelnej stoi w Kownie wysoko). Tyle o samej uroczystości kościelnej.

Druga część znamienego obchodu odbyła się już poza murami domu Bożego. Rozumie się przez to defilada wojskowa i obiad wystawny, jakim główny kapelan armji litewskiej sympatyczny ks. Władysław Mironas, (przedtem kapłan diecezji wileńskiej i znany Wilnu katecheta) podejmował arcybiskupa Skwireckiego i swoją starszyznę wojskową. Nie zatrzymywalibyśmy dłużej nad tem w istocie swej nieznacznym zdarzeniem, jeśliby w charakterze gości honorowych, nie zasiedli do wspólnego stołu prezydent Smetona, najwyższy wódz armji, i niektórzy ministrowie. Pierwszy toast przy obiedzie wniósł prezydent za zdrowie siedzącego obok niego arcybiskupa. Odwiedzając się, najwyższy zwierzchnik Kościoła w Litwie toastował na cześć prezydenta. Jakkolwiek w obu toastach można było wyczuć jeszcze dobrze zrozumianą w Kownie rezerwę, to jednak robiły one wrażenie pierwszych topniejących lodów. Właściwie trzeba byłoby w tym wypadku spodziewać się na początku toastu za zdrowie i pomyślność pap. Piusa XI. Ten brak był nader wymowny i dobitnie świadczy, że nie tak jeszcze blisko do uregulowania stosunków między Litwą a Stolicą św. Jeśli jednak tak beznadziejny pozornie zatarg, jak Mussoliniego z Watykanem, został wcale rychło załagodzony, wolno mieć wszelką nadzieję, że zatarg między *brachium saeculare, a ecclesiasticum*, może prędzej niżby się zdawać mogło uregulowany zostanie. Wracamy jednak do innych przemów. Oto po arcyb. Skwireckim, min. wojny Giedrajtis, w słowach b. serdecznych, dziękował wysokiemu dostojnikowi kościelnemu za łaskawe odwiedzenie kościoła wojskowego i wyraził prośbę oraz życzenie, aby arcybiskup częściej odwiedzał ten kościół, przynajmniej corocznie. Patrząc ze strony, wyglądało wszystko b. pięknie. Na czele prezydent, obok arcybiskupa, dalej ministrowie, wyżsi oficerowie, duchowieństwo „cywilne” i wojskowe... Obie armje, duchowna i świecka, w pokojach głównego kapelana wojskowego, gwarzyły sobie przyjaźnie... Byłych zatargów — rzekłbyś — ani śladu. Oczywiście w tem zasługą ks. Mironasa...

Lecz gdy goście, po skończonej uczcie, wrócili do domu i sięgnęli zwyczajem poobiednim, do przejrzenia prasy porannej, znaleźli w odnośnym numerze dziennika „Rytas” wiadomość o pociągnięciu do sądu dwóch nowych księży za wypowiedzenie gdzieś kazań, w jakich policja prowincjonalna dopatrzyła się, w swej nadmiernej gorliwości, akcji przeciwpaństwowej. A więc pomimo wszystko zatarg trwa...*)

Jesteśmy w okresie przeróżnych kongresów. Rozumiem jeszcze ich mnogość, gdy zwoływane są w celach politycznych, ale stanowczym jestem przeciwnikiem nadmiaru np. kongresów eucharystycznych. Nie czas dziś na to. Gdy zaczęto w Kownie poruszać wiosną kwestję kongresu takiego, miałem chęć uczestniczenia w nim. Lecz gdy zamiast jednego, a dobrze przygotowanego kongresu dla całej naszej prowincji kościelnej, uznano za właściwe zorganizować ich aż... pięć, w każdej diecezji po jednym, postanowiłem w żadnym z nich nie brać udziału. Sądziłem, że nasz litewski *zelus* dosięgnął już szczytu gorliwości. Lecz nie! Zelanci wileńscy, jak czytam, prześcignęli kowieńskich, a to organizując te kongresy nawet w każdym dekanacie. Pozostaje teraz jeszcze jedna możliwość — organizowanie kongresów eucharystycznych w każdej już parafji, a jeszcze lepiej w każdej wioscel... Nie tędy jednak droga od wzmocnienia stygnącej dziś wiary w tłumach.

X. R.

We środę 28 października o godz. 9 rano w kościele św. Jana zostanie odprawione żałobne nabożeństwo za spokój duszy

ś. † p.

Tadeusza Wróblewskiego,

poczem bezpośrednio nastąpi poświęcenie nagrobka na cmentarzu Rosa.

O tych obrzędach zawiadamia krewnych, przyjaciół, kolegów i znajomych zmarłego

**Komitet T-wa Pomocy Naukowej
im. E. i E. Wróblewskich.**

*) W ostatnim tygodniu, jak doniosły telegramy, zatarg ten nawet znacznie się zaostrzył. „Rytas” został zawieszony, a wśród działaczy Akcji Katolickiej nastąpiły liczne areszty,

(Przyp. Red.)

